POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXII | WARSZAWA, DNIA 1 MARCA 1930 ROKU | NR. 9

ANDRZEJ STRUG

3)

ŻÓŁTY KRZYŻ

— Eh... Qu'est que tu a?... O-la-la, et vivant?...

Zanim zdołał przemówić słowo, poczuł na ustach zimne metaliczne dotknięcie, chwycił ręką za blaszankę i pił chciwie cudowne cierpkie wino żołnierskie! Nie oderwałby się, gdyby mu poprostu nie odebrano manierki.

— A dla niego?... — wskazał oczami niemca.

Żołnierz błysnął latarką, zaklął okropnemi słowy, poklepał kapitana po głowie twardą dłonią, obiecał, że nad ranem napewno po niego przyjdą i poczłapał po błocie, śpiesząc za innymi. Stało się to, zaczęło się i skończyło tak szybko, że Déspaix nie mógł się opamiętać. Było to jak senne przywidzenie, a jedyna prawda to smak wina, który pozostał i jego rozkoszna błogość. Wzruszyła do łez dobroć tego żołnierzyka i oburzała twardość patrolu, który minął go, jak trupa i poszedł precz. A wiedział, co to jest patrol po nocy, sam je nieraz prowadzał i też nie zważał na błagania rannych, bo to należy do kogo innego. Cóż, może jeszcze przyjdą.

Znów zajątrzył ból i naparł, nacisnął, rozpostarł swoją wszechwładzę i zdusił w nim poczynający się świat myślenia. Nic jeno okropność, nic tylko jęk. To stara rana w biodrze, ta z pod Mort Homme... Pomąciły się czasy. Leży w błocie na punkcie opatrunkowym i jęczy. Straszliwie dręczy go lekarz, wiercąc i skrobiąc mu w żywej kości. Lekarz w okularach, brodaty okrutnik... Żołnierze podli siepacze trzymają go za ręce, za nogi... O litości!...

Porwał się w nim gniew, straszliwa bezsilna nienawiść. Przecież to już było! Było już raz od początku do końca i dawno minęło. Jakto, więc jeszcze i jeszcze?! A tamto! Jak o tem mogli zapomnieć? Gdzie jest Bóg, który liczy rany i krzywdy? Nagle uspokoił się. Odkrył najwyższą prawdę — przecież on zaraz umrze. Rozwarła się przed nim głębia nicości i spokoju — śmierć. Poznawał ją teraz w ostatniej swojej godzinie i zdumiał się. Jak można bać się śmierci? Drżał przed nią w huraganowym ogniu, w szturmie, w wyprawie nocnej pod nieprzyjacielskie druty, w walce wręcz na granaty i noże... Bał się jej od trzech z góry lat, jak każdy i wszyscy. Ciemni opętani ludzie!... Przecież tylko śmierć jest prawdą, a reszta mamidłem i niczem.

Chwytało go uniesienie. Ból wzgardzony spokorniał i przycichł. Piętrzyły się nad nim rzeczy niepojęte, porywało go widzenie tajemnic, w których nie było już nic z tego świata.

* * *

Widniało. Górny wiatr przeganiał chmury, rozwlekał je na pasma, z zakrytego jeszcze nieba sączył się blady zmierzch. Od zachodu przedzierało się przez chmury słabe lśnienie. Na dalekich pozycjach czuwały niezmordowanie błękitno - zielone kule ogniste, wciąż wzlatując, wciąż spadając i wciąż wisząc w powietrzu. Czyniło się szaro, coraz częściej wybuchały alarmy, żołnierzom na posterunkach i podsłuchach troiło się w oczach, świat majaczył, mienił się — choć daleko jeszcze było do świtania. Mroźny wiatr budził się chwilami, polatywał po ziemi i ustawał jakby nadsłuchując i stwarzał ciszę. Wśród ciszy dochodziły z niezmiernej odległości z za horyzontu głuche przeciągłe pogrzmoty ciężkich baterji. Naraz oblała ziemię blada zwodna poświata. Wionęło smutkiem i ponurością. Wszystko stało się jednem nieogarnionem widmem nędzy i zatracenia — okropnością gorszą od wszystkich niedoli, jakie odsłonić zdoła słońce i biały dzień. Jak okiem sięgnąć, obnażyła się ziemia — pustynia wyklęta i zapomniana przez Boga. Był to świat zdeptany wojną, zamordowany na śmierć. Legły pokotem po przez olbrzymie pola jego pohańbione niepogrzebane zwłoki. Trupia zgniłość wisiała we mgle błąkającej się strzępami, trupie było nad ziemią lśnienie księżyca. Jego skradające się patrzenie, niepewne, kosookie i fałszywe podglądało ukrytą w pomroce tajemnicę. Sierp niespodziany, wązki, ostry z poza kłębu chmur wyjrzał i zawisł na skraju nieba, jak tajemniczy znak zgrozy.

Porucznik von Senden wlepił oczy w zjawę na niebie i osłupiał w zapatrzeniu. Spływał nań od tego skrawka księżycowego zły urok jakiegoś zamarłego wspomnienia. Blady sierp napomykał mu o dawnych udręczeniach i wskrzeszał z grobu jego własne dzieje, które zamordował był w duszy i przywalił kamieniem. Przyszło to teraz, jak obce, ukradkiem, podstępnie, żebrało zmiłowania i łaski. Gdy pożegnał już wszystko na świecie i modlił się tylko o rychlejszą śmierć, musiał teraz wracać ku sprawom przeklętym, do bezmiernego swego cierpienia dokładać mękę duszy. Dosyć! Nie chcę! Ja umieram... — Nie umrzesz, póki nie przebaczysz — ja cię nie puszczę... — Idź precz... — Nie pójdę, bo zawsze cię kochałam... Daruj mi w ostatniej godzinie.

Zasłoniły mu cały świat jej oczy przepastne, zarazem złe i dobre, znienawidzone i do końca ukochane. Już nie miał sił obronić się przed ich opętaniem. Słabł, poddawał się!

Tamtej nocy, gdy przybył z frontu na nieludzko skąpe pięć dni urlopu wprost z pod Verdun, patrzał wówczas na ten sam księżyc. Zajrzał do jego okna

jarzący sierp, księżyc zamierający, gdy odciągał bezpiecznik na swojem bojowem parabellum... Podporucznik von Senden, niezłomny żołnierz cudem ocalały, oszczędzony przez wszystkie pociski, wybuchy, przez bagnety i noże, przez gazy i ognie nad krwawą rzeką Mozą, pod Douaumont, pod fortem Vaux, pod fortem Souville... Miałżeby zginąć teraz, we własnym, cichym domu, zginąć marnie od własnej kuli? Nie.

Od półtora roku wyzywa śmierć, z podziwem i ze zgrozą patrzą nań koledzy i żołnierze, krzyże i medale okryły jego polową, szarą kurtkę — żadne kule go się nie imały. Ale ufał, że nadejdzie jego dzień i godzina, — wyzwolenie i spokój wieczny. Dopiero teraz... Nie przyszedł koniec w celnej kuli, która razi piorunem i nie da sekundy czasu na jedną bodaj myśl. Zwleka, dręczy i depce wolę cierpieniem nad wszelkie ludzkie siły. Czeka, aż dusza poniżona wyzbędzie się ostatniej reszteczki dumy i godności...

— Przebaczam ci Greto, zdrajczyni i daj mi już umrzeć...

Natychmiast spłynęła po promieniu księżyca, legła w błocie i owinęła ramionami jego głowę. Podtrzymała ją, okryła ciepłem pocałunków, pieszczotą rąk. W zdyszanem szeptaniu opowiadała mu swoje winy i ciężką pokutę i żrące tęsknoty, powtarzała swoje niezliczone listy, słane na front, które palił był wszystkie i niszczył nieczytane. Szeptała, spiesząc się, by zdążyć, żeby nim odejdzie wiedział o niej wszystko. Niech wie o żonach porzuconych na całe lata, oszalałych z trwogi, targanych niepokojem dniem i nocą, bez jednej chwili wytchnienia. Wciąż przychodzą i mijają wiekopomne zwycięstwa, tryumfalne komunikaty, fanfary na ulicach wszystkich miast, jak Niemcy długie i szerokie i wrzaski pijanego tłumu... Te gazety, co dnia pełne chełpliwości i wygrażania całemu światu, pełne oficjalnego łgarstwa i przelewające się od wielkich słów, obrzydłych, wyszarganych przez patrjotycznych pismaków...

Nie zaznała ulgi w modlitwie ani w pracy po szpitalach, ani w kokainie, ani w kłopotach domowych, gdy nie stało co jeść... Obłąkała się w czekaniu na straszną wieść i oszalała. A gdy przyszła najgorsza godzina — uległa. Nie — rzuciła się jak w przepaść bez wiedzy i pamięci, żeby się zatracić, żeby zbezcześcić i zabić w sobie cierpienie. Ach, czemuż mu to wyznała?

Słuchał porucznik von Senden i na progu śmierci, gdy oderwał się już od tego świata, zrozumiał Gretę, bo zrozumiał wojnę. Przebaczył.

* * *

Znowu chrzęst kroków w pobliżu i przytłumione głosy. Jeszcze raz dźwignęli głowy konający. Ludzie nocy, niestrudzeni kopacze zaszli aż tutaj, błądząc po polach, w poszukiwaniu punktów jutrzejszego oporu lub wypadu. Porucznik von Senden drgnął, posłyszawszy mowę ojczystą. Napróżno pożegnał był wszystko i czekał tylko końca. Jakgdyby po za nim i bez niego ozwała się wola do życia, potęga nieprzemożona, która czuwa w człowieku aż do ostatniego tchnienia. Czując tuż swoich, jakże kochał teraz swoją więź z rodzonem plemieniem niemieckiem! Żołnierze odzywali się zrzadka, ale coraz wyraźniej dochodziły słowa — snać podsuwali się coraz bliżej, wygrzebując okop i zaraz tu będą.

Nie mógł dać znać o sobie, ale przecież lada chwila zajrzy tu któryś...

Nagle głośniej zagadały głosy. Były złe ale rozkosznie blizkie. Ktoś krótkim, urwanym rozkazem stłumił rozgwar. Stało się cicho, nie zabrzękała łopata — czyżby odeszli?

Kapitan Déspaix słuchał z natężeniem odgłosów nocy. Byli to wprawdzie niemcy, ale gdy przyjdą, to odkopując tamtego, muszą, choćby nie zechcieli, odgrzebać i jego, który leży z nim razem. Nie dobiją go, bo tamten nie da... W to wierzył, trzymali się wciąż za ręce, Déspaix pocisnął porozumiewawczo rękę niemca, odpowiedziało mu słabe, ale wyraźne poruszenie. — Nie bój się, ja cię obronię...

Oddychał głęboko, czując tuż przed sobą niewiarogodną chwilę wybawienia.

Nagle zakasłał, zakrztusił się. Powietrze zaczerpnięte z oddechem natychmiast wracało z powrotem, jak wypchnięte przemocą. Było straszliwe, nie do wytrzymania obrzydłe... Zaszumiało mu w głowie, zaczął się dusić. Niemiec charczał ciężko. Księżyc zasunął się za chmurę i nieprzejrzana noc okryła wszystko.

Poznał Déspaix okropny cuch zastarzałego trupiego rozkładu. Na nic się zdało szamotanie w uwięzi, ani jęki. W nocnej swej robocie natrafili żołnierze na zwłoki zagrzebane ongiś przez pociski i odkopali stare cmetarzysko. Wytrysł z pod ziemi śmiertelny jad grobów i zatruwał wszystko dokoła. Rozbiegli się klnąc żołnierze. Na to zblizka runęły salwą strzały. Łyskanie ognia. Okrzyki, tupot nóg, szczęk bagnetów, granaty... Przebiegali uciekający, tratując bez miłosierdzia nieszczęsne głowy, potykając się o nieruchome, żywe, niewidoczne w pomroce przeszkody. Już jęczą, stękają i rzężą nowi ranni na miejsce tych, którzy niedawno ucichli.

* * *

Kapitan Déspaix zaraz po pierwszych starciach, gdy poznał, co to jest wojna, ułożył sobie program na przetrwanie i nowy tryb życia wewnętrznego. Postanowił oderwać się od wszystkiego, co własne i drogie. Zapomnieć o żonie i dzieciach, o miłym domu w Chauluy. Zamknął swoje szczęście rodzinne i odłożył je na czas niewiadomy, gdy skończy się ta wojna, a on — da Bóg — uniesie cało głowę. Dopiero wówczas wróci do swego człowieczeństwa, nawiąże się jego przerwany żywot. Wróci Claude Déspaix do swego opętania, do rzeczy najdroższej na świecie i jedynej, dla której warto żyć na świecie, do swojej samotnej pracowni, do marzenia twórczego i do pracy nad otchłanną mistyką związków chemicznych, tych niepojętych potęg natury, które odgadnięte i rozpoznane odmienić mogą człowieka i jego losy na ziemi. Tak odciął się od całej swojej istoty, żeby się nie dręczyć, żeby podołać straszliwie prostej roli żołnierza. Odganiał każdą myśl o tamtem, nie stykał się z dawnym prawdziwym sobą nawet w przelotne dni urlopu, ani w ciągu tygodni szpitalnych. Wciągnął się w przymus i wytrwał na wojnie przez te trzy lata — niemal zapomniał, jak z nim było dawniej. Stał się ślepą maszyną wojny i jej narzędziem doskonałem. Nienawidził wojny, wszystko w niej było mu obmierzłe, ale raz na zawsze uznał fatum wojny, potęgę, z którą niema innej rady, jak tylko poddać się ślepo i bez granic.

(D. c. n.).

9)

JĄDRO CIEMNOŚCI

Gdy słońce wzeszło, pojawiła się biała mgła, bardzo ciepła i lepka a oślepiająca więcej, niż noc. Nie poruszała się ani nie sunęła; tkwiła poprostu na miejscu, otaczając nas niby coś masywnego. Około ósmej a może i dziewiątej podniosła się jak okiennica. Ujrzeliśmy na chwilę spiętrzoną masę drzew, olbrzymią, pogmatwaną dżunglę i wiszącą nad nią małą kulę słońca — wszystko stężałe w bezruchu; biała okiennica opuściła się gładko z pwrotem, jak na naoliwionych kółkach. Kazałem naddać znów kotwicznego łańcucha, któryśmy zaczęli już zwijać. Zanim przestał sunąć ze zgłuszonym chrobotem, krzyk — bardzo głośny krzyk — jakby niezmiernej rozpaczy wzniósł się powoli w matowem powietrzu. Ustał. Żałosna wrzawa przechodząca w dzikie dysonanse napełniła z kolei nasze uszy. Było to tak nieoczekiwane, że włosy mi drgnęły pod czapką. Nie wiem jakie to zrobiło wrażenie na innych; mnie się wydało że to mgła sama krzyknęła — tak nagle, i rzekłbyś ze wszystkich stron naraz podniósł się ten burzliwy i żałosny zgiełk. Zakończył się gwałtownym wybuchem wrzasku prawie nie do zniesienia, który się raptem urwał, zostawiając nas skamieniałych w przeróżnych głupich pozach; wsłuchiwaliśmy się uparcie w ciszę prawie równie wielką i przerażającą. „Wielki Boże! Co znaczy ten —" wyjąkał pod moim bokiem jeden z pielgrzymów, mały, tłusty człowieczek o ryżawych włosach i rudych bokobrodach; miał wciągane buty na gumach i różową pyżamę, a spodnie wetknięte w skarpetki. Dwaj jego towarzysze trwali przez całą minutę z rozdziawioną gębą, poczem rzucili się do małej kajuty, wypadli z niej natychmiast i stanęli, rozglądając się z przerażeniem i trzymając winczestry na „gotuj". Mogliśmy dojrzeć jedynie nasz parowiec — o konturach tak zamazanych jakby się miał za chwilę rozpłynąć — i mglisty pas wody szerokości około dwóch stóp naokoło statku — to było wszystko. Reszta świata nie istniała, jeśli mieliśmy wierzyć oczom i uszom. Poprostu nie istniała. Znikła, przepadła; została zmieciona, nie zostawiając za sobą szmeru ni cienia.

Poszedłem na bok i kazałem wciągnąć łańcuch, aby być gotowym do podniesienia kotwicy i ruszenia z miejsca natychmiast gdy zajdzie potrzeba. „Czy nas napadną?" szepnął jakiś głos przejęty zgrozą. „Wyrżną tu nas wszystkich w tej mgle" — mruknął ktoś inny. Twarze drgały z natężenia, ręce trzęsły się zlekka, oczy zapominały mrugać. Bardzo był ciekawy kontrast wyrazu twarzy u białych i u Murzynów z naszej załogi, równie obcych jak my w tej części rzeki, choć ich wsie leżały tylko o osiemset mil. Biali, oczywiście bardzo zaniepokojeni, wyglądali przytem dość szczególnie, jakby ten przeraźliwy wrzask ich raził w przykry sposób. Tamci zaś mieli wyraz czujny i naturalnie zaciekawiony, ale twarze ich były zasadniczo spokojne, nawet u jednego czy dwóch, którzy się krzywili, wciągając łańcuch. Kilku zamieniło krótkie, mrukliwe zdania, zdające się rozstrzygać kwestję ku zupełnemu ich zadowoleniu. Prowodyr, młody Murzyn o szerokich piersiach, odziany z surową prostotą w granatowy, fałdzisty strój z frendzlami, stał koło mnie; nozdrza miał srogie a włosy pozwijane misternie w tłuste loczki. „No?" odezwałem się, ot tak sobie, po koleżeńsku. „Złapać ich" — wypalił Murzyn i wytrzeszczył nabiegłe krwią oczy, błyskając ostremi zębami — „złapać ich. Dać ich nam". „Jakto, wam?" spytałem, „a cobyście z nimi zrobili?" „Zjeść ich!" odrzekł zwięźle i oparłszy łokieć o poręcz, patrzył we mgłę w pozie pełnej godności, ogarnięty głęboką zadumą. Byłoby mnie to bezwątpienia zgorszyło należycie, gdyby nie przyszło mi na myśl, że i on i jego ludzie muszą być bardzo głodni, że głód ich zapewne wciąż wzrasta conajmniej już od miesiąca. Zaciągnięto ich na pół roku (nie zdaje mi się aby którykolwiek z nich zdawał sobie dokładnie sprawę z czasu, nie tak jak my po upływie niezliczonych stuleci; należeli jeszcze do pradawnych wieków, nie odziedziczyli doświadczenia, któreby mogło ich niejako pouczyć) — i oczywiście, póki istniał kawałek papieru zapisany zgodnie z jakiemś śmiechu wartem prawem, takiem czy innem, skleconem w dole rzeki, póty nie przyszło nikomu do głowy troszczyć się co będą jedli. Wprawdzie zabrali z sobą trochę zepsutego hipopotamiego mięsa, ale w żadnym razie nie byłoby to starczyło na długo, nawet gdyby pielgrzymi nie wyrzucili większej części tego mięsa za burtę wśród straszliwego rwetesu. Postępek ten wyglądał na samowolny, ale w gruncie rzeczy była to tylko godziwa samoobrona. Niepodobna wdychać woni zdechłego hippopotama, czuwając, śpiąc i jedząc, a jednocześnie utrzymać się przy kruchem życiu. Pozatem wydzielano Murzynom co tydzień trzy kawałki miedzianego drutu, każdy długości około dziewięciu cali; w teorji mieli kupować za tę obiegową monetę żywność po wsiach nadbrzeżnych. Można sobie wyobrazić jak ten system działał. Albośmy wcale wsi nie napotykali, albo ludność była wroga, albo też dyrektor — który tak jak i my wszyscy żywił się konserwami, urozmaiconemi od czasu do czasu jakim starym kozłem—nie chciał zatrzymywać parowca z mniej lub więcej ukrytych powodów. Dlatego też nie wyobrażam sobie co naszym Murzynom mogło przyjść z ich dziwacznej pensji — chyba że połykali ów drut albo robili z niego haczyki do łapania ryb na wędkę. Muszę zaznaczyć, że wypłacano tę pensję z regularnością godną wielkiej i solidnej spółki handlowej. Pozatem jedyną rzeczą do jedzenia jaką widziałem u tych Murzynów — choć nie wyglądała bynajmniej na jadalną — było kilka kawałków czegoś co wyglądało jak napwół surowe ciasto brudnej zielonawej barwy; trzymali to zawinięte w liście i niekiedy połykali po kawałeczku, ale takim malutkim, że się miało wrażenie jak gdyby to robili raczej dla pozoru, nie zaś by się doprawdy pożywić. Dlaczego, w imię wszystkich szatanów żrącego głodu, nie rzucili się na nas — było ich trzydziestu na pięciu — aby się raz napchać porządnie, zdumiewa mię, gdy teraz o tem myślę. Byli to wielcy, tędzy mężczyźni, niebardzo zdolni do zważenia następstw takiego postępku, a przytem odważni i silni — jeszcze silni, choć skóra ich już nie lśniła, a muskuły zwiotczały. I pojąłem, że wchodzi tu w grę jakiś hamulec, jedna z tych ludzkich tajemnic niemożliwych do przeniknięcia. Patrzyłem na nich ze wzrastającem szybko zajęciem, nie wywołanem bynajmniej myślą, że może wkrótce mnie zjedzą — choć przyznam się wam, iż właśnie wtedy spostrzegłem — niejako w nowem świetle — jak niezdrowo wyglądają pielgrzymi, i miałem nadzieję, tak! doprawdy miałem nadzieję,

że mój wygląd nie jest taki — jakby to powiedzieć? — taki — nieapetyczny; ten rys fantastycznej próżności harmonizował z poczuciem snu na jawie, przenikającem wówczas wszystkie moje dni. A może miałem trochę gorączki. Nie można żyć ciągle z ręką na pulsie. Miewałem często „trochę gorączki", a może i co innego — może to były żartobliwe uderzenia łap dziczy, wstępne igraszki przed groźniejszym napadem, który nastąpił we właściwym czasie. Tak; patrzyłem na tych Murzynów, jak się patrzy na każde ludzkie stworzenie, chcąc poznać jego popędy, motywy, uzdolnienia, słabości, poddane próbie nieubłaganej fizycznej konieczności. Hamulec! Jakiż hamulec mógł tam działać? Czy to był przesąd, wstręt, cierpliwość, lęk — czy też coś w rodzaju pierwotnego honoru? Żaden lęk nie ostoi się przed głodem, żadna cierpliwość go nie wytrzyma, wstręt nie istnieje poprostu wobec głodu, a co do przesądów, wierzeń i tak zwanych zasad, znaczą mniej niż plewy na wietrze. Czy znacie piekło przeciągłego głodu, jątrzące jego męczarnie, czarne myśli, ponure i chmurne okrucieństwo? Otóż ja znam. Zwalczanie uczucia głodu pochłania wszystkie wrodzone siły człowieka. Łatwiej znieść utratę kogoś bliskiego, utratę honoru, potępienie—niż tego rodzaju przeciągły głód. Smutne lecz prawdziwe. A przytem nie było żadnych istotnych przyczyn mogących wzbudzić skrupuły w tych dzikich. Powściągliwość! Możnaby się równie dobrze spodziewać powściągliwości od chjeny żerującej wśród trupów na pobojowisku. Ale oto był przede mną ten fakt — jaskrawy, oczywisty, jak piana na głębiach morza — tajemnica większa, gdy się nad nią zastanawiałem, niż dziwny, niepojęty ton rozpaczliwego żalu dźwięczący w tej dzikiej wrzawie, którą minęliśmy na brzegu, za ślepą bielą mgły.

— Dwaj pielgrzymi sprzeczali się gorączkowym szeptem o to, na którym brzegu rozległ się krzyk. „Na lewym". „Ależ nie, cóż znowu! Na prawym, naturalnie że na prawym". „Położenie jest bardzo poważne", rzekł za mną głos dyrektora; „byłbym niepocieszony, gdyby coś złego miało spotkać Kurtza nim dojedziemy. Spojrzałem na dyrektora i nie miałem najlżejszej wątpliwości, że mówił szczerze. Należał właśnie do tej kategorji ludzi, którym chodzi o zachowanie pozorów. To był jego hamulec. Ale gdy mruknął coś o tem, że trzeba jechać natychmiast, nie zadałem sobie nawet trudu aby mu odpowiedzieć. Wiedział, tak jak i ja, że to niemożliwe. Gdybyśmy podnieśli kotwicę, znaleźlibyśmy się dosłownie w powietrzu — w przestrzeni. Byłoby wówczas niepodobieństwem powiedzieć dokąd jedziemy — w górę, w dół rzeki, czy wpoprzek, pókibyśmy znów nie dosięgli jednego lub drugiego brzegu — a i wtedybyśmy nie wiedzieli z początku który to brzeg. Oczywiście nie ruszyłem się z miejsca. Nie miałem ochoty roztrzaskać statku. Niepodobna było sobie wyobrazić miejsca bardziej grożącego rozbiciem. Nawet gdybyśmy nie zatonęli odrazu, mogliśmy być pewni, że zginiemy wnet w taki lub inny sposób. „Upoważniam pana do podjęcia wszelkiego ryzyka"—rzekł dyrektor po krótkiem milczeniu. „A ja nie podejmę żadnego" — odrzekłem krótko, co było właśnie odpowiedzią, której oczekiwał, choć ton jej może go zaskoczył. „Trudno, muszę się zdać na pański sąd. Pan jest kapitanem" — rzekł z wyraźną uprzejmością. Odwróciłem się do niego tyłem na znak szacunku i patrzałem we mgłę. Jak długo będzie trwała? Był to widok wprost beznadziejny. Drogę do tego Kurtza — który rył się w ziemi, w pogoni za kością słoniową, wśród tego przeklętego gąszczu — osaczały takie niebezpieczeństwa, jakby był zaczarowaną księżniczką śpiącą w zamku z bajki. „Czy napadną nas, jak pan myśli?" spytał poufnie dyrektor.

— Nie sądziłem aby nas zaatakowali dla różnych oczywistych powodów. Jednym z nich była gęsta mgła. Gdyby chcieli odbić od brzegu w czółnach, zagubiliby się we mgle, coby i nas spotkało, gdybyśmy usiłowali ruszyć z miejsca. Ale zdawało mi się także, iż dżungla na obu wybrzeżach jest absolutnie nie do przebycia — tymczasem tkwiły w niej oczy, oczy które nas dostrzegły. Nadrzeczne zarośla były napewno bardzo zwarte, jednak przez gąszcz za niemi można się było przedrzeć. Lecz nie dostrzegłem wcale czółen na rzece w czasie krótkiego podniesienia się mgły — a w każdym razie nie widziałem ich obok parowca. Głównym jednak powodem, dla którego atak wydawał mi się niemożliwy, był rodzaj tej wrzawy — tych słyszanych przez nas krzyków. Nie miały charakteru srogiego, zwiastującego bezpośredni wrogi zamiar. Ów zgiełk, choć niespodziany, dziki i gwałtowny zostawił mi nieodparte wrażenie smutku. Widok parowca przejął z jakiejś przyczyny tych dzikich nieopanowanym smutkiem. Wykładałem dyrektorowi, że jeśli nam grozi niebezpieczeństwo, to tylko dlatego, że się ocieramy o jakąś wielką, rozpętaną ludzką namiętność. Niezmierna boleść może znaleźć w końcu ujście w gwałcie, ale zwykle przechodzi w apatję...

— Trzeba wam było widzieć jak pielgrzymi wytrzeszczali na mnie oczy! Nie chciało się im nawet skrzywić lub mnie zwymyślać, ale myśleli pewno żem oszalał — prawdopodobnie ze strachu. Wygłosiłem prawdziwy odczyt. Ale nie było warto się fatygować. Co się zaś tyczy trzymania straży, no, chyba sobie wyobrażacie jak wypatrywałem oznak świadczących że mgła się podnosi; śledziłem ją jak kot śledzi mysz; cóż kiedy oczy nie na wiele się mogły nam przydać — ponieważ byliśmy jak gdyby zagrzebani głęboko w stosie waty. I czuło się tę mgłę jak watę — duszną, ciepłą, dławiącą. Zresztą to co tym ludziom powiedziałem, choć wyglądało dziwacznie, było zupełnie zgodne z rzeczywistością. Napad, o którym mówiliśmy później jako o ataku, był w istocie próbą odparcia nas. Akcja dzikich nie okazała się bynajmniej agresywną — ani nawet obronną w zwykłem tego słowa znaczeniu; została podjęta pod wpływem rozpaczy, a w gruncie rzeczy była nawskroś opiekuńcza.

— Rozpoczęła się, powiedzmy, w dwie godziny po podniesieniu się mgły, w miejscu oddalonem mniej więcej o półtorej mili od stacji Kurtza. Gramoliliśmy się właśnie po wodzie, usiłując okrążyć zakręt, gdy zobaczyłem wysepkę, taki zwykły, pokryty trawą zielony kopiec na środku rzeki. Poza tem nic na rzece nie było, ale gdyśmy posunęli się dalej, spostrzegłem że to początek długiej, piaszczystej mielizny, a raczej łańcucha płytkich rew ciągnących się przez środek koryta. Zanurzone w wodzie, bezbarwne, leżały tuż pod powierzchnią, zupełnie jak kręgosłup człowieka, biegnący środkiem pleców pod skórą. Otóż, o ile się dało wymiarkować, mogłem ominąć tę mieliznę na prawo albo na lewo. Nie znałem, oczywiście, żadnego z obu przesmyków. Brzegi wyglądały mniej więcej jednakowo, głębokość wody również, ale ponieważ uprzedzono mię że stacja leży na wybrzeżu zachodniem, skierowałem się naturalnie ku zachodniej cieśnince.

— Zaledwieśmy w nią głębiej wjechali, zdałem sobie sprawę że jest znacznie ciaśniejsza niż przypuszczałem. Na lewo od nas ciągnęła się owa długa, nieprzerwana mielizna a na prawo wysoki, stromy brzeg zarośnięty krzewami. Nad gąszczem tkwiły drzewa w zwartych rzędach. Gałęzie zwisały gęsto z brzegu, a gdzieniegdzie sterczał sztywno nad rzeką jakiś wielki konar.

(D. c. n.)